

# Szcześliwa



ELIZA ORZESZKOWA

## Szczęśliwa

Wysoka, kształtna, z twarzą myślącą, zimną nieco, ale pięknie zarysowaną i bardzo świeżą, w stroju pełnym smaku i powagi, siedzi pod rozłożystemi drzewami wspaniałego parku i myśli o tem, jaki ten park jest piękny, jaki ten dzień letni jest pogodny i jaka ona sama jest szczęśliwa. Czując się szczęśliwą, a raczej zadowoloną i spokojną, uczuwa się zarazem wdzięczną samej sobie. Przychodzi jej na pamięć wiersz jakiegoś poety, zdaje się, że Szyllera: „We własnej piersi nosisz gwiazdę swych przeznaczeń”. Poeci, wogóle, przesadzają ogromnie w sposobach wyrażania pojęć, a często i w samych pojęciach, co bardzo łatwo tem się tłumaczy, że są najwyższymi wyrazicielami egzaltacji, marzycielstwa, czyli — jak ona sobie w duchu z uśmiechem ironicznym dodaje — mazgajstwa. W tym jednak szylerowskim wierszu myśl jest zupełnie prawdziwa i trzeźwa, choć dość głęboka. Istotnie, los człowieka zależy w bardzo znacznej mierze od jego własnych usposobień i postępów. Rzecz w tem, aby zdobyć młot i tym młotem wykuwać kształty życia systematycznie, rozważnie, oględnie. Jej młot, ten, którym wykuła ona, nie bez trudności i przeszkód, spokój swój i swoje zadowolenie, składa się z praktycznego rozsądku, z logiki i silnej woli. Dzięki temu, że coraz poslušniejsza tym przewodnikom swoim, stała się z biegiem czasu zupełnie im poslušną, umie oceniać dobrze różne wartości tego świata i, nie biorąc liczmanów za dukaty, ani pozłot za złoto, ani baniek mydlanych za brylanty, gonieniem wiatrów w polu zdrowia sobie nie niszczy, majątku nie rujnuje, sił nie nadwyręża. Temu właśnie zawdzięcza, że w porze życia, która dla mnóstwa kobiet bywa początkiem starości, szpetoty, choroby, wszelkich wogóle kłesk i bankructw, znajduje się w pełnym posiadaniu swego zdrowia, swego majątku, swojej pozycji towarzyskiej i swoich bynajmniej jeszcze nie więdnących wdzięków. Od losu i natury wiele otrzymała, lecz zachowanie i utrwalenie ich darów winna jest temu, że w porę nauczyła się nad samą sobą panować, światu w oczy śmiało i nieco lekceważąco patrzeć, złudzeniami i marzeniami gardzić, gdyż są poprostu — kłamstwem. Okłamywać siebie nie pozwala nikomu i niczemu, ani wyzyskiwać. Jednostajnie dobrze znając się na wartości rzeczy wszelkich i na interesach własnych, pierwszych nie przecenia, a drugich nie zaniedbuje nigdy. I oto jest ten młot, którym wykuwa kształty swego życia, może chłodne trochę, lecz spokojne, dostojne, piękne i oto jest ta gwiazda przeznaczeń, którą w piersi swojej nosi, nie gorejąca zapewne, ale świecąca jasno, równo, czysto, trwale.

Nie zawsze taką była. Niegdyś, w pierwszej młodości, na równi z innymi doświadczała różnych przywiązań, tęsknot, żalów, współczuć, lecz bądź dlatego, że rozum jej był bystrzejszy niż u innych, bądź, że słabsze uczucia mniej grube łuski kładły jej na oczy, wczesnie spostrzegła, że są to rzeczy bardzo kosztowne i że wszyscy, którzy na wydatki takie sobie pozwalają, dość rychło i z którejkolwiek strony bankrutować muszą.

Pamięta, że, mając lat szesnaście, wiele bezsennych nocy spędziła u łóża chorej siostry, a w dniach, gdy życie jej zagrożone było, wiele płakała. Więc też i opłaciła to potem całym rokiem ciężkich migren, zepsutej cery i przykrej niemożności oddawania się nauce muzyki, do której posiadała talent i pociąg. Jeszcze parę podobnych żalów, poświęceń, a zaraz u początku życia poniosłaby straty ważne, niewynagrodzone.

Ta siostra zaś... Historja godna tylko śmiechu! Po wyzdrowieniu zaręczyła się z kimś, kto się jej bardzo podobał i w sprawach, w radościach własnych zatopiona, dla niej, dla tej, dzięki której staraniom zdrowie odzyskała, przestała mieć oczy, uszy i serce. Wtedy to po raz pierwszy w głowie jej powstała myśl, że przywiązywanie się do ludzi i poświęcanie się dla nich jest głupstwem, bo kosztuje wiele, a nagrody nie otrzymuje żadnej.

Ale potem, głębiej nieco w życiu, zaszedł wypadek daleko ważniejszy i który wiele zaważył zarówno w losach jej, jak w ukształtowaniu się wewnętrznym. W dwudziestym którymś roku życia, od lat kilku zamężna, straciła dziecko, jedyne, jakie miała kiedykolwiek, córkę trzyletnią, śliczne, różowe, kochane bobo, bo jeżeli może powiedzieć, że kogokolwiek kiedy kochała z całego serca, mocno, głęboko, to tym kimś było to dziecko. Nic więc dziwnego, że gdy zniknęło, doświadczała takiego uczucia, jakby ktoś z piersi jej wyrwał kawał żywego ciała, czyniąc przez to ranę strasznie bolącą. I to więc również było rzeczą prostą, że od bólu przez tę ranę sprawianego mało sypiała i wiele płakała, a mało sypiając i wiele płacząc, ani wesołą być, ani ładnie wyglądać nie mogła. Wyniknęła z tego historia przezabawna i dla uczuć, zarówno jak dla związków ludzkich niezmiernie charakterystyczna. Mąż jej, człowiek młody i nadewszystko wesołość lubiący, który do tego czasu był dla niej i miły i czuły, z którym życie upływało jej łatwo, przyjemnie, wesoło, począł stawać się obojętnym, posępnym, oburkliwym, nudzić się ze smutną i mizerną żoną, z domu uciekać... Z początku rozumiał ból jej i sam go z nią podzielał, ale gdy u niego przeszło to rychło, u niej trwało długo... Słowem, stała się rzecz nie nadzwyczajna, owszem, pospolita, ale zawsze dość nieprzyjemna, że domowe szczęście jej zamieniło się w nieszczęście. A stała się rzecz ta nie przez żadną winę jej, albo przywarę, ale wprost i tylko przez puszczenie wodzy uczuciom i — łzom. Na szczęście, oboje mieli za wiele rozsądku, logiki i woli, aby nakształt baranów trzymać szyje pod nożami udręczeń, sprowadzanych przez rozterkę, zdradę, wzajemne obrazy. Rozstali się, odzyskała wolność, życie swe wybornie urządzić potrafiła, niemniej zła przysługa, którą w tym wypadku oddały jej zapłakane oczy, głęboko wyryła się w jej pamięci.

Podobnych doświadczeń osobistych, mniej lub więcej ważnych, miała sporo, ale więcej jeszcze spostrzeżeń, czynionych na innych. Jedna naprzykład z rówieśnic jej, zawiódłszy się na sercu i charakterze człowieka kochanego, popadła w smutek tak ciężki, że można było nazwać go rozpaczą. Z szybkością przerażającą chudła, bladła, szpetniała, a wielki ten ból, którego ukryć nie miała siły, budząc zrazu u wszystkich żal i współczucie, wszystkim też wkrótce wydawać się począł zbyt wielkim, zbyt trwałym, a nadewszystko nudnym. Ona sama żalowała i współczuła przez czas pewien, ale potem spostrzegła, że każde widzenie się z nieszczęśliwą źle oddziaływa na własny jej humor, więc usunęła się, myśląc: niech jej tam towarzystwa dotrzymują i pociechy udzielają ludzi lepsi ode mnie, czy czulsi, czy tacy, którzy ją otaczali, admirowali i lubili, gdy była zdrową, hożą i wesołą. Ale — o dziwy! Jakkolwiek była już wówczas i doświadczoną i niezbyt czułościom ludzkim ufającą, z niejakim zdziwieniem jednak zobaczyła, że prawie wszyscy na tym świecie tak samo jak ona dbają o dobry humor, na który widok smutny źle oddziaływa. Kobieta nieszczęśliwa tak dalece sam na sam ze swoim nieszczęściem pozostawioną została, że pewnego pięknego poranku, czy wieczoru, dobrowolnie, zapomocą jakiegoś cyanku potasu, czy czegoś tam podobnego, przeniosła się na świat inny, może lepszy, może wierniejszymi i tkliwszemi sercami zaludniony, ale w gruncie rzeczy niewiadomy. Otóż i skutki braku panowania nad sobą i poddawania się nierozsądnym egzaltacjom, smutkom, żalom! I po czem? za czem? Po człowieku, który zawiódł i obraził? Za miłością, która, jak dym od wiatru, rozwiewa się od czasu, od kaprysu, od nudy, od gniewu? Czyż nie rozsądniej i nie praktyczniej postąpiła ona, która w położeniu bardzo podobnym zęby ścisnęła, uczucia stłumiła, głowę dumnie podniosła i, nad mogiłą przeminionego momentu życia uśmiech ironiczny zasadziwszy, twarz ku jasnej stronie świata obróciła?

A jeżeli... jeżeli wówczas i w jej sercu stanęła była wielka łza, jeżeli i jej do ucha życie szepnęło: znikomość, marność, lichosć! to łzę rozgniotła dotknięciem woli silnej, a słowa straszliwe zagłuszyła gwarem wrażeń miłych, zaczerpniętych ze źródeł błyszczących, szumnych, których tyle posiada świat...

Miała znajomych, którzy, uganiając się za ideałami, za napowietrznymi wyobrażeniami wyśnionych doskonałości, albo poddając się bez krytyki i hamulca popędom serc marzycielskich, z rozsądkiem w rozwodzie żyjących, tracili majątki, stanowiska, a czasem i coś nad nie jeszcze ważniejszego. Jeden z takich, ogromnie dobroczynny i wszystkim strapieniom ludzkim współczujący, a dlatego powszechnie „miłośnikiem ludzkości” nazywany, dopóty wspierał, ratował i odbudowywał, aż we wspieraniu, ratowaniu i odbudowywaniu bytów cudzych zatracił wszystko, co własnemu bytowi jego dawało bezpieczeństwo i dostatek. I cóż? Oto, u progu starości, dla jakiego takiego utrzymania się na

powierzchni tego świata — w służbę poszedł, w służbę ciężką i upokarzającą, z której ma tyle tylko, że z głodu nie umiera. Widuje go niekiedy, jak przygarbiony, pomarszczony, osiwały, w odzieży wytartej biegnie przed jej oknami śpiesznie, aby o jedną minutę nie spóźnić się z wsunięciem tej wyciągniętej naprzód szyi w obrozę codzienną. Widok jego nieraz bywał dla niej nauką i powściągał ją od wydatków zbytecznych na rzecz cierpiącej ludzkości.

Bo że ludzkość jest wogóle cierpiąca i że nurtuje ją nieprzebrane mnóstwo najrozmaitszych bied, nędz i utrapień, ona wie o tem i czasem nawet trudno jej się obronić od smutnych nad tem rozmyślań. Oświecona jest i spostrzegawcza; wiele czyta i bystro rozumuje; niepodobna jej więc stale uchylać wzroku od strony życia zakrwawionej i łzami oblanej. Tak już zresztą stworzony jest człowiek, że bóle człowieka innego odbijają się w nim echem mniej lub więcej głośnie. W niej echo to nie jest zapewne najgłośniejsze, jednak jest, więc też i w budzecie swym ma ona rubrykę uczynków miłosirnych, ale w ten sposób zakreślona, aby w mierze najmniejszej nie uszczuplała rubryk innych i nie nadwężała ich raz na zawsze ustanowionej równowagi. Tym sposobem w sumieniu nie uczuwa wyrzutów żadnych i w majątku nie ponosi żadnej ujmy. Jest to postępowanie rozsądne i logiczne, z którego linii zbaczać nie pozwala sobie nigdy, wolą tłumiąc pokusy, które, zrazu dość częste, potem stawały się coraz rzadszemi, a teraz nie zdarzają się już prawie nigdy. Tak dalece przywykła nakazywać milczenie wrażeniom swym i uczuciom, że teraz same przez się już milczą, a raczej odzywają się głosem, którego skalę ona im wykreśliła i nakazała. Więc też majątkowe jej interesy, tak samo jak zdrowie i piękność, znajdują się w stanie kwitnym, czego następstwem jest to, że może pozwalać sobie na wiele rzeczy, które, rzucając na życie urok piękna, wygody i urozmaicenia, wstędze jego użyczają powierzchni atlasowej i różowej. Przypomina sobie jeszcze w tej chwili ludzi pewnych, których znała i nad których losami zastanawiała się z uśmiechem smutnym zrazu, a potem ironicznym. Nie umiałaby zdać sobie jasnej sprawy z tego, kiedy i jakim sposobem smutne jej uśmiechy przemieniały się w ironiczne, lecz faktem jest, że te ostatnie oddawna już wargom jej bólu nie sprawiają. Owszem, głębokie zadowolenie tkwi w zeznaniu, że sprawy świata tego poznała do gruntu i błęgiego uczucia bezpieczeństwa doświadcza na myśl, że, znając je do gruntu, sieci i pułapek, których są one pełne, zawsze uniknąć potrafi.

Otóż, przypomina sobie ludzi młodych, pełnych nadziei i przymiotów takich, jakie ręczą za możliwość spełnienia się nadziei najśmielszych... Cóż się z nimi stało? Kochali, marzyli, wierzyli. W światło idei, w płomień czynu, pod niebo ofiary wlecieli i — za kraj świata zapadli. Na świecie zaś, po ich nadziejach, pragnieniach, czynach, ofiarach i — samych imionach nie pozostało ani śladu. Nie pozostało z nich ani śladu nawet w pamięciach i sercach tych, którzy ich — niby — kochali i wielbili.

W tem miejscu wystrzeliwał szczytowy punkt jej rozważań i analiz. Kochali, wielbili. Czy tak? O, słowa w jednej minucie rodzące się i konające. Dźwięki, na które, jak muchy na lep słodki, zlatują się dusze czule, aby od zawartej w lepie trucizny mrzeć w męczarniach...

Kędyż są ci, tak liczni, których „miłośnik ludzkości” wydzwignął niegdyś z grzędzawiska nędzy, może hańby? Przyrzekali mu byli zapewne wieczną miłość i wdzięczność, może je nawet czuli przez trwanie motylego życia... Lecz motyl prędko mrze i teraz — „miłośnik ludzkości” tonie w swej nędzy, jak kropla wody wpuszczona do morza i o której nie myśli, nie pamięta już nikt a nikt.

I kędyż byli tamci, towarzysze zabaw, przyjaciele, wielbiciel kobiety ładnej i wesołej, którzy, gdy ładność i wesołość z niej opadły, pozostawili ją sam na sam — z cyankiem potasu?

A owi jeszcze, którzy z ekstazą wykrzykiwali bohaterom: chwała! chwała! i w lat niewiele, — hej, — w niewiele tygodni, same imiona bohaterów potracili z pamięci?

I mnóstwo innych podobnych widoków, przykładów...

Nie! Obok wszystkich słów wielkich i dźwięcznych, jako to: kochanie, uwielbienie, wdzięczność, wierność, zawsze umieszczają drobne słówka: niby, trochę, w tej chwili, tymczasem...

Więc poprostu niewarto!

A cóż — warto?

O siebie dbać warto, choćby dlatego, że im mniej wagi człowiek do samego siebie przywiązuje, tem więcej ludzie i jego samego i wszystko co jego jest lekceważą. Głowę wysoko podnosić warto, bo okazać tylko ludziom, że jesteś mały, uwierzą w to natychmiast i będą na cię zgóry patrzeć, deptać. Silnym być warto, bo każdą piędź ziemi, morza i powietrza brzmi okrzykiem: biada słabym!

A cóż jest siłą?

Jak dla kogo. Ona ma piąstki słabe i kawałka świata pod berłem swem nie dzierży. Dla niej więc zdrowie, wdzięk, majątek... Ludzi pociągać i zachwycać, niczego od nich nie potrzebować...

Zresztą, pojęcie szczęścia, czy tam, jeżeli nie szczęścia, to uroku i wartości życia, zależy od charakteru i upodobań. Myśli teraz o kobietach tylko i o rozmaitych kobiecych szczęściach.

Są takie, które nadewszystko lubią smaczno jeść, wiele spać i wygodnie siedzieć, ale ona temi egzemplarzami tuczonych zwierzątek pogardza. Mają one oczy zaspane, ruchy ospałe, są śmiertelnie nudne i absolutnie do niczego na świecie nieprzydatne.

Lecz zna dwa gatunki inne. Jedne, światowe i świetne, wiecznie upędzają się za miłośkami, dla których zdobywania orężami i narzędziami są: strój, dowcip, nawet wiedza i talent; drugie, sielankowe i czule, wiecznie marzące o chatce choćby, byle — z nim.

Ani jednych ani drugich gustu nie podziela. Miłości są niebezpieczne, a chatki niewygodne. Niebezpieczeństwo pierwszych polega na tem, że są ogniem, który czasem parzy i kipiątkiem, który, nie zawsze czystym będąc, często plami; o niewygodzie zaś drugich, to jest, chatek, niema co i mówić, bo rzecz wiadoma: ciasno, głodno, nudno, często też brudno i ze szczelin zimne wiatry wieją.

Jednak znała raz chatkę taką zbliska, gdyż była wymarzoną i urzeczywistnioną rajem jednej z jej krewnych. Krewna ta jej, osóbką śliczną, pełną wdzięku, dwa razy miała sposobność uczynienia świetnej partji i, obie te sposobności odrzuciwszy, wyszła za biedaka, który posiadał chatkę i był — nim. I rzecz to niemal nieprawdopodobna, lecz której zaprzeczyć nie może, ponieważ ją na własne oczy widywała, że wiatry, ze szczelin tej chatki wiejące, szczęścia z niej nie wywiały. Ludzie ci miewali często troski, zmartwienia, niedostatki rozmaite, ale też i pociechy, przypominające te deszczyki majowe, które, gdy po niwie przejdą, rozwija się wnet nad nią tysiąc koron kwiatowych i wzbija się tysiąc woni. Bywała tam dość często i przypomina sobie pewne szare godziny w pokoikach małych i o szarych godzinach przy małych oknach, za którymi płonęły zorze purpurowe, rozmowy ciche, długie, poufne; przypomina sobie pewne spojrzenia, uśmiechy, słowa na pozór zwykłe, lecz z których wiały gorące oddechy duszy, ruchy ramion, śpieszących z opieką, obroną, pomocą, pieśczęcią. Drobiazgi, lecz w których oni tak dalece zamknęli główną wartość życia, że wszystko, co spotykało ich po za niemi, poczytywali za epizody przemijające, za dodatki przyjemne lub przykre, lecz nieba życia powlec chmurami, ani dna dusz goryczą napoić nie mogące. Jak z drobnych kamuszków, składających mozaikowany obraz, ulatnia się pierwiastek piękna, tak z tych drobiazgów uczuciowych sączyła się dla nich przeciw truciznom życia — słodycz lecznicza.

Gdy sobie teraz tę chatkę i parę jej mieszkańców przypomina, nie może sumiennie zaprzeczyć, że sprawiały na niej wrażenie, które z jednej strony było zdziwieniem, a z drugiej jakimś żalem. Dziwiła się temu rodzajowi szczęścia i chwytła siebie na gorącym uczynku żalowania, że sama go posiadać nie mogła. Nie mogła dlatego, że ani kochać tak głęboko i tkliwie, ani zadowolnić się życiem tak skromnem i cichem nie była zdolną. Zresztą brała i teraz również ten wzgląd bierze pod uwagę, że z pomiędzy wszystkich doświadczeń z chatkami, jakie widywać jej się zdarzało, to jedno tylko było pomyślne; wszystkie zaś inne po miłych początkach miały dalsze ciągi wcale nieprzyjemne i finały zupełnie fatalne.

Więc też podobny ciąg dalszy rozsądnie i praktycznie usunęła od siebie wówczas, gdy z niemałym wytężeniem silnej woli oparła się uczuciu, pociągającemu ją ku temu rozumnemu, miłemu i nadewszystko dobremu człowiekowi, o którym dotąd jeszcze wspomina niekiedy, może... zbyt często... Rzecz dziwna, że właśnie ta dobroć jego, rozlewająca się w głosie, spojrzeniu, uśmiechu, przeglądająca z poruszeń duszy i ciała, wabiła ją ku niemu urokiem najsilniejszym, ją, która dobroci nie umieszczała w rządzie kardynalnych przymiotów człowieka, a nawet pewne jej wybujałości poczytywała za niedołęstwo i ka-

lectwo. W nim przecież dobroć była tem właśnie, co kroplami ognia i miodu ściekało na dno jej serca. Przytem, ogromnie lubiła dźwięk jego głosu, kolor włosów, postawę, ruchy i nadewszystko czoło, nad rysami niezupełnie regularnymi, myślące, piękne czoło, na którym, jak na karcie książki przeciekawej, oczy jej nieprzewyciężenie zatrzymywać się musiały.

Lecz — cóż? Stanowisko, stosunki, okoliczności rozmaite, nawet same przekonania i zamiary człowieka tego nie odpowiadały jej upodobaniom i wyobrażeniom o tem, co w życiu zbytecznym jest i koniecznym, miłym i niemiłym. O wartościach świata i życia mieli pojęcia wcale różne. Życie z nim byłoby rodzajem chatki, która budziła w niej trwogę i nieufność, na którą też, pomimo wszystko i na sposób żaden zdecydować się nie mogła.

Ale też i na wyrzeczenie się człowieka tego, na wieczne z nim rozstanie zdecydowała się nie bez trudności... O! z trudnością. Rozsądek przecież wydawał rozkaz wyraźny, silna wola go wykonała i — stało się. Dobrze się stało, gdyż w wypadku przeciwnym miałyby teraz po miłym początku taki ciąg dalszy, że z pewnością nie byłyby taką, jaką jest teraz, spokojną, zadowoloną, świeżą, świetną. Ilekroć przypomina sobie tę dawno, dawno przeminioną historję, dumną uczuwa się ze swojej silnej woli, dzięki której szczęśliwie przekroczyła ten kamień obrazy, szczęśliwie opłynęła tę rafę życia, któremi dla mnóstwa kobiet bywa niezgodne z rozsądkiem uczucie.

Dziś, ów moment zachwycenia, jak miód z hyzopem, zmieszanego z bólem, wydaje się jej snem dalekim, od którego zawiewa tęsknotą... czasem tęsknotą, lecz częściej triumfem. Triumf przemaga. Ze wszystkich źródeł radości, którymi wytryskuje ziemia, radość triumfu jest tym, z którego ona pije najchętniej i najczęściej, ponieważ ma w sobie wiele próżności...

Gardzi złudzeniami, nie okłamuje siebie nigdy, więc mówi sobie zupełnie szczerze, że z natury i przyzwyczajęń jest próżna. Lubi ludzkie pochwały i hołdy, lubi błyszczeć strojem, wdziękiem, rozmową, stosunkami, otoczeniem niezwykle wykwiśniętym i pięknym. Posiada też w tem wielkiem mieście sławę jednej z kobiet najpoważniejszych, najmilszych, najświetniejszych, najbieglejszej w sztuce przyjmowania gości, wśród których wiele i coraz więcej znajduje się imion, ukoronowanych przez urodzenie, majątek, geniusz. W jej wieku sławę taką jeszcze posiadać, tylu niezwykłych ludzi ku sobie pociągać — rzadkość, która tylko przez niezmiernie mądrą i wytrwałą samozachowawczość osiągniętą zostać mogła. Wie zresztą dobrze, że i ta ironja, z jaką zapatruje się na wiele rzeczy tego świata, dobre przysługi jej oddaje, bo ludzi zaciekawia do niej i bawi, a duże znawstwo artystyczne i biegłość muzyczna wlewają w rozmowę jej i całą osobę pewien urok, ogień... Otoczenie...

Najbliższe otoczenie jej piękne jest nie przez nagromadzenie tanich pozłot, nie przez wystawę lichych fraszek, ale przez szlachetną harmonję barw i linii, wśród której akordem panującym są nieliczne, ale prawdziwe dzieła sztuki. Dzięki rozsądkowi, który w budżecie wydatków jej zaprowadził równowagę niewzruszoną, posiada środki dla podróżowania, przyglądania się wśród podróży dziełom sztuki i uwożenia z sobą kiedy niekiedy klejnotów tego skarbcza. Posiada w mieszkaniu swem trochę prawdziwie pięknych obrazów i rzeźb, a oprócz tego każdy sprzęt czy drobiazg, skoro tylko stanowi szczegół jej otoczenia, przedmiot, na którym oczy jej zatrzymują się codziennie, musi być dziełem myśli artystycznej i zawierać w sobie pierwiastek piękna. Lubi wygodę i lubi piękno, a połączenie pierwszej z drugim stanowi zadanie, któremu poświęca wiele czasu i myśli, które też udaje się jej wykonywać bardzo dobrze.

Tu jednak nie o samej już tylko próżności mowa być może, w równym, albo i wyższym jeszcze stopniu, o zupełnie szczerym i żywo uczuwanym estetyzmie. Jest esteta. Lubi piękno i zna się na niem. Lubi je dla przyjemności, które sprawia jej zmysłom, ale również i dla uspokojęń tych, które wlewa do jej duszy. Zdarzają się w dniach jej całe godziny, z którymi nie wie co ma uczynić, martwe godziny, których powolne upływanie sprawia szelest umarłych w jesieni liści. Wówczas przypatruje się otaczającym ją przedmiotom pięknym i tym sposobem sprowadza sobie stan pewnej błogości trochę martwy, lecz pokrywający szelest martwych godzin spokojnym i słodkim kwiatyzmem.

Niektórzy z pomiędzy znajomych obdarzyli ją nazwą sybarytki. Z chętnym uśmiechem nazwę tę przyjęła. Ani myśli o zapieraniu się, że wartość życia — swego przynajmniej — zawarła w tem wszystkim, co zawiera w sobie sybarytyzm; lecz szczeni się,

że jej sybarytyzm posiada w sobie, obok pierwiastków prozaicznych i pospolitych, pierwiastki artystyczne i podniosłe. Szczyci się też i budzi to w niej zadowolenie głębokie, że sybarytyzm jej nie ma na sobie plam. Jak gronostaj wstrząsa się z obrzydzeniem, ilekroć dostrzeże na sobie samo przypuszczenie, cień, choćby cień cienia plamy. Jest w naturze jej coś z wiecznie myjącej się kotki, tylko, że aktów mycia się dokonywa ona ze strony duchowej równie pilnie, jak ze strony cielesnej. Ta wrodzona skrupulatność w zachowywaniu nieskazitelności, której motywem głównym jest artystyczna niejako dążność do wykuwania kształtów życia w linje spokojne i szlachetne, służy jej jako puklerz przed pokusami erotycznymi, gdyby ich doświadczała. Ale nie doświadcza ich prawie nigdy. Raz tylko, wówczas, zadrżała od samych głębin głębi, a gdy to przewyciężyła, odparła, wszystko w tym rodzaju wydaje się jej bladym, niedokrwiąstwym, niegodnym westchnień. A przytem — ironja. Wznosić jedną choćby ścianę pałacu swego na podstawie, którą jak dym rozwiewają wiatry czasu, kaprysu, nudy, obrazy — jest to wystawiać na runięcie wszystkie ściany inne. Nie; niech już lepiej stoją, takie jak są, trochę chłodne, ale wyniosłe, ozdobne, spokojne, bezpieczne.

Ogółem biorąc, szczęście, którego używa, składa się z pierwiastków spokoju, bezpieczeństwa, zadowolenia miłości własnej i zadowolenia istniejących w jej naturze instynktów artystycznych. Można by powiedzieć, że jest ono, to szczęście, doskonałą sytością. Ciało, umysł, próżność, wyobraźnia jej są syte i, co wiele znaczy, są pewne, że jeśli tylko słońce nie spadnie na ziemię, albo trzęsienie ziemi wszystkiego, co jest na niej, do góry nogami nie przewróci, sytemi będą zawsze. I w tej to właśnie sytości leży tajemnica zadziwiającej na wiek jej świeżości cery, kształtności kibici, czarność włosów, czerwoności ust. Ludzie, na jakikolwiek sposób i z którejkolwiek strony istoty swojej głodni, szybko kurczą się, żółkną, więdną. Ona, w porze przekwitania, w pełni kwitnie.

A jeżeli kiedykolwiek, rzadka, dostrzeże na różowej wstędze życia szarą pylinkę nudy, lub w sobie uczuje jakąś kroplę drobną, drżącą i palącą — ma przeciw tym gościom nieproszonym sposoby rozmaite, liczne, wśród których miejsce ważne zajmuje muzyka. Muzyka, stanowiąc przednią ozdobę jej osoby, będąc czemś nakształt broszy brylantowej w ogólnym jej stroju, wzbogaca o jeden kwiat więcej bukiet jej artystycznych zadowoleń i służy za narzędzie do zmiatania ze wstęgi życia szarej pylinki nudy, lub do zgniatania na dnie piersi czerwonej kropki tęsknoty. Jeżeli nie wybiera się w podróż, nie wychodzi na przechadzkę, nie bierze do ręki najnowszej książki, nie przyzywa ku sobie najprzyjemniej rozmawiających ludzi, to zasiada przed fortepianem i gra. Gra umiejętnie, pojętnie, z oddaniem, czasem nawet z zapalem i, po godzinie lub dwóch godzinach grania, odchodzi od fortepianu zabawiona, uspokojona, bez szarego pyłu na wstędze dnia, bez piekającej kropelki w piersi. Dziś właśnie zdarzył się jej taki dzień rzadki. Usłyszała szelest martwych godzin, uczuła drżenie kropelki... Grała długo, potem na przechadzkę wyszła i znowu dobrze...

Tak; ci tylko na skąpstwo świata narzekać mogą, których ręce niedołączne lub obłąkane skarbcza jego otwierać nie umieją. Ona do umiejętności tej była zdolna, wyćwiczyła się w niej zapomocą rozsądku i silnej woli, więc też należy do posiadaczy, do nasyconych, do zwycięzców.

Oddawna już należy do tych, którzy nigdy nie płaczą.

\*

W takich myślach, w takim niejako zdawaniu przed samą sobą rachunku i sprawozdania pogrążona, długo nie spostrzegła dokoła siebie ani rzeczy, ani ludzi, aż nagle do sluchu jej przedarły się dźwięki głośnie, metaliczne. Było to coś, jakby zaszczębiotanie ptaka, czy zadzwonienie kryształu lub srebra, czy gama, wzięta w wjolinie. Był to głośny śmiech dziecka. Nic ważnego ani szczególnego. W takich jak ten ogrodach publicznych znajduje się zazwyczaj mnóstwo gwarzących, śmiejących się dzieci. Jednak, po niezliczone razy słyszane i niesłuchane, tym razem szczębiot i śmiech dziecinny przebiły się do samej głębi jej sluchu, tak, że pochylona naprzód, oczyma szukała ich źródła. Ale maleńkie, różowe to źródło było już od niej dość daleko i przez chwilę tylko mogła widzieć drobną istotkę w różowej sukience, którą za rękę prowadził stary człowiek o plecach szerokich, przygarbionych, dość wytartą odzieżą okrytych. Plecy te i tę odzież zobaczywszy, więcej

jeszcze pochylała się i wyteżyła wzrok. Wszakże to on... tak, tak, on, ten... „miłośnik ludzkości”, bankrut, prawie nędzarz, codziennie przechodzący przed jej oknami, z szyją wyciągniętą do włożenia obroży całodziennej! Dziś, dzień świąteczny, więc obroża zdjęta, i, czy podobna? czy podobna? Ten człowiek uśmiecha się, śmieje się nawet, czegoś się cieszy... On — ta ruina wszechstronna i — radość, dwa przeciwne bieguny, dwa różne globy. Dziewczynka mała, jak różyczka, słomianym kapelusikiem nakryta, a jej dziecinne stopki dziwnie pocieszenie i śpiesznie drepcą obok stóp męskich, wielkich, ciężkich, grubo obutych. Głowa mała w słomianym kapelusiku ruchem ptaszcęcym wznosi się ku twarzy dużej, tak zbrudzonej jak niwa, którą wielokrotnie wzruszyły żelazne lemieszce. I oboje, ona z podniesioną ku niemu, on z pochyloną ku niej twarzą, patrzą na siebie i śmieją się. Romans dziadka z małą wnuczką. W dzień pogodny i świąteczny wesoły romans! Że dziecko śmieje się, rzecz prosta, ale ten biedak, niewolnik, przedwczesny starzec... Śmiech jego inny, niż śmiech dziecka. To raczej uśmiech tylko, ale szeroki, słoneczny; zmarszczki twarzy przerabia na promienie, w oczach krzesze promienie, po wargach zwiędłych wije się promieniem i nawet z brody osiwiałej czyni snop promieni srebrzystych. Jest to szczęście. Niepodobna omylić się. Człowiek ten w tej chwili jest szczęśliwy. Pogoda, święto, kochane dziecko. Nadewszystko — dziecko i to, że kochane. On wiecznie coś lub kogoś, a raczej i coś i kogoś musiał kochać. Przez to kochanie, jak przez dziurawe sito wysiał wszystko co miał... jednak i teraz jeszcze bywa szczęśliwy...

Zniknęli jej z oczu. Parę razy tylko, w oddali, wśród drzew zamigotała różowa sukienka... rzecz dziwna, ale prawdziwa, że dla niej było to zamigotanie — wspomnienia.

Rzecz dziwna, bo przecież często, niemal codziennie widuje różne dzieci i nie przypominają jej one nic. A teraz, to dziecko przypomniało inne, tamto, dawno zniknione...

Dlaczego teraz?

Któż to wiedzieć może? Płyną czasem powietrzem prądy niewidzialne i potracają w nas struny śpiące. Spały te struny długo i zapewne śniły, gdy potraczone zbudziły się, wstają nad niemi sny ich i wchodzą do serca.

Skąd płyną prądy niewidzialne i dlaczego dziś właśnie, płynąc, budzą struny śpiące? Kto wiedzieć może?

Głośniejszy nieco szelest godzin martwych, silniejsze na dnie piersi zadrganie kropelki czerwonej, dźwięk dawno nie słyszany, światło nagle zgasło, atom barwy czy woni, obłok, trochę mgły, trochę zawahania się myśli nad przepaściami... budzą się śpiące struny i wydają z siebie swe sny, które wchodzą do serca...

Po co sny strun obudzonych wchodzą do serca i budzą je do bólu?

Któż wiedzieć może?

Ta szczególnie para stópek drobnych, tak zabawnie drepających, zupełnie taka sama, jak tamta. Ten sam wzrost i taka sama fala złotych włosów, opadająca na plecy. Nawet różowa sukienka była i ten ptaszcący ruch głowy małej, podnoszącej się ku głowie większej — był. I — niema. Tak dawno już niema w rzeczywistości, że i w pamięci bywa rzadko. Mnóstwo dni upłynęło, odkąd ten gość z przeszłości po raz ostatni pamięć jej odwiedził. A teraz przyszedł znowu. Ze struny obudzonej występuje sen jej i w postaci drobnej, różowej istotki wchodzi do serca...

Egzaltacja! przesada! puste i płonne marzenia! Wspominać, znaczy to łowić wiatr, umkniony w pole niepowrotności. Chcieć zawrócić niepowrotność — myśl szaleńca. Szaleńców pełen świat, ale ona do tego gatunku nie należy. Opanowuje siebie, odpycha wspomnienie, od łona pamięci odrywa parę stópek drobnych i falę złocistych włosów. W inną stronę wzrok obraca, nie patrzy już na zieloną firankę, za którą zniknęła różowa sukienka dziecinna i zorana twarz przedwczesnego starca, ze słońcem szczęścia...

Podziwia piękność ukośnych cieni, które o tej zachodniej chwili ścielą się po rozległych trawnikach. Klomb róż płonie w blaskach zachodu, jak rzucony na trawnik płaszcz królewski i pyszniej od gronostajów bramuje go dokoła w śnieżne chryzantemy. U końca alei ukazuje się postać kobieca, mająca na sobie suknię nadzwyczajną. Nadzwyczaj kosztowna i nadzwyczaj modna suknia, ale...

Z jaką jednak rozkoszą i jakim staraniem obuwała ona niegdyś te drobne stopki i zawijała w kędziory te złote włosy! Jak długo, jak strasznie tęskniła za niemi — gdy zniknęły. Tak długo, że tęsknota wywabiła jej z policzków rumieńce, z ust uśmiechy,



z oczu blask, a z serca człowieka, z którym żyła, miłość dla niej. Nierozsądną jeszcze była wówczas, gdy nabrała rozsądku, wróciły do niej rumieńce, uśmiechy, blaski i — sympatje ludzkie. Skądże więc teraz... Jakaś niespodzianka...

Wolą rozkazuje oczom, aby przyglądały się ludziom, przechodzącym alejami parku blisko i nieco dalej.

Ludzkie ubrania, ruchy, twarze, to teatr, na którym często bawi się wybornie jej ironja. Z wielką łatwością spostrzega ludzkie fałszy, maski, podszewki, krzywizny, chromizmy i przyglądała się im z ironicznymi uśmiechami na ustach. Usta te są czerwone i uśmiechy dyskretnie, z ostrzami zwróconymi na wewnątrz. Oddawna już ostrza uśmiechów ironicznych goryczy do wnętrza jej nie sączą. Owszem, doświadcza miłego uczucia przenikliwości własnej i cieszy się kontrastem usposobień swoich, spokojnych, szczerych, chłodnych, z niepokojem, obłudą i namiętnościami tych, którym się przygląda. I teraz również spostrzega parę pretensjonalnych ubrań kobiecych, parę niezgrabnie rozmachanych ramion, kilka twarzy wykrzywionych wesołości udawaną, kilka ukłonów, których unizona giętkość spotyka się z wyprostowaną puchą. Zaczyna bawić się...

Wtem, nagle, wzrok jej więźnie w jednej postaci, która bardzo powoli przesuwając się o kilka kroków od niej, za rzędem rzadka rozsadzonych drzew. Niewiedzieć dlaczego postać ta wzrok jej za sobą prowadzi, bo niema w niej nic niepospolitego, ani zabawnego i tem tylko się odznacza, że na zielonem tle parku, wśród pstroczyny ubrań i żywości poruszeń ludzkich sprawia wrażenie zadumanej i smutnej mary. Kobieta to dość wysoka, w czarnej sukni i czarnym kapeluszu na siwiejących włosach — nic więcej. Ale jest w niej cecha pewna, która wszystkie inne jej cechy zasłania, uderza w oczy i wprost z niej krzyczy. Z powolności jej chodu, który nigdzie i do nikogo nie śpieszy, z ust zgrabnych, lecz przez milczenie wygiętych w linję wąską i gorzką, z bladeści policzków, do których nigdy gorąca fala radości nie uderza, z wygięcia naprzód szyi, przyzwyczajonej do chylenia w dół głowy zadumanej i przez ruch ten zgarbieniem lekkim psującej kształtną jeszcze kibić, z wyrazu oczu pięknie wykrojonych, lecz które patrzą sztywnie lub błędnie, bo wiedzą, że nigdzie nie ujrzą nic miłego, nic jasnego, nic nadewszystko swego — uderza i krzyczy samotność.

Nie jest ta kobieta ubogą, ani zhańbioną, ani tykocą ugodzoną przez łamiące się z trzaskiem drzewo naddrożne. Jest samotna. Czy towarzysze drogi jej pospadali jeden po drugim w przydrożny rów wieczności? Czy nigdy ich nie miała? Czy przeznaczenie o zamiarach tajemniczych, które krzyże różnych kształtów układa na dolach ludzkich, na jej doli taki krzyż ułożyło? Jest samotna i — niekochana, a człowiek niekochany, to na ludnym gościńcu słup wiorstowy, który wśród gwaru i ruchu stoi na pustem miejscu sztywny, suchy, niemy, wyblakły od słot bez osłony, spalony od skwarów bez ochłody, połupany od kół wozów, zaczepiających o niego i wstrząsających nim bezkarnie. Taką jest ta kobieta w czarnej sukni, bardzo powoli, ze wzrokiem sztywnym przesuwająca się za rzadko rozsadzonymi drzewami.

Napozór niema czemu czy komu przypatrywać się tak bacznie... Niema też przyczyny, aby z czerwonych ust kobiety wykwintnej, spokojnej, rozumnej zniknął uśmiech ironiczny i wesoły. Jednak przypatruje się ona i uśmiech jej znika...

Uderza w nią myśl dziwna, dlatego dziwna, że nie przychodziła dotąd nigdy. Ale wszystko, co ma być, musi kiedykolwiek przyjść po raz pierwszy. Przyszła myśl i uderzyła w nią zdziwieniem. Obok niej, tak jak obok tej kobiety w czarnej sukni, niema nikogo. Ani tu, ani tam, w ładnym mieszkaniu, ani nigdzie. Więc cóż? Nic; tylko, że jej oczy tak samo, jak oczy tej kobiety, mogłyby patrzeć przed siebie, patrzeć, patrzeć wieki i nie ujrzeć nikogo — swego. Więc, cóż? Nic, tylko na różowej wstędze życia powstaje szara plamka, a raczej ściele się cień. Śnać trudno bardzo, albo i niepodobna pomalować wstęgę życia kolorem różowym — na zawsze. Wiatr powiał, obłok przepłynął, motyl wspomnienia przeleciał i — oto czarna plamka, cień! Myśląc tak, uśmiecha się ironicznie, ale czuje, że uśmiech to jest nieszczerzy. Nie ma ochoty śmiać się. Więc niezadowolona, zaniepokojona, zdziwiona obraca wzrok w inną stronę, żeby zapomnieć i rozweselić się naprawdę...

Z innej strony nadchodzi postać również kobieca i również w czarnej sukni. Tamta od paru minut zniknęła już w odległej alei parku, ta nadchodzi. O ile tamta szła powoli, o tyle ta idzie prędko; o ile tamtej było wszystko jedno: co, kto, gdzie, dokąd, — o tyle tę coś gorąco zajmuje, przejmując, do pośpiechu napędza. To siostra miłosierdzia.

Zdala, biały kornet jaśniej w ostatnich blaskach słońca, jak płat niepokalanego śniegu. Można go też porównać do uskrzydłonej lilji, unoszącej się nad postacią czarną, lecz lekką, która szybkim krokiem okrąży klomb róż purpurowych i bramujący go rząd śnieżnych chryzantem. Chryzantemy pochylają się, musnięte brzegiem czarnej sukni, jakby skinieniami koron witały płynącą w górze lilję.

Minęła klomb pięknych kwiatów i postępuje teraz cienistą aleją. Zbliżyła się. Tyle się już zbliżyła, że wyraźnie widać w głębi oskrzydłonego kornetu twarz jej drobną, i żółtością prawie woskową odbijającą od jego śnieżnej bieli. Ręce splecione u piersi, żółtawe i chude zdają się lśnić na tle czarnej sukni, jak lekką pozłotą obleczony symbol mistyczny. Mnóstwo cierpienia jest w tej twarzy i w tych rękach, w chodzie też śpiesznym, lecz chwiejnym i w piersi, podnoszącej się oddechem coraz trudniejszym, krótszym. Te ręce musiały pracować wiele i te piersi pracują ciężko, tak ciężko, że zmuszona jest stanąć, a po chwili dojść do ławki ogrodowej i na niej usiąść.

Na ławce ogrodowej siedząc, jedną z żółtawych rąk ze spracowanymi palcami do piersi przycisnęła i wpółotwartymi ustami, które mają delikatność i barwę więdnących płatków róży, chwytła powietrze. Każdy człowiek, trochę doświadczony, poznać może, że jest chora na serce. Tak samo jak ręce, serce to pracować musiało wiele i, zmęczone, posłuszeństwa odmawiać zaczęło. Cierpi. Cierpiąc, szła jednak tak śpiesznie! Dokąd? Odgadnąć łatwo: do istoty ludzkiej, więcej od niej cierpiącej. Gdy słońce, bliskie już zachodu, świecić przestanie zupełnie, gdy zmrok nocny hufcem postrachów i smutków otoczy tych, którzy leżą w bólach ciała i ducha, będzie ona ręką lekką jak motyl ocierać krople potu z rozbolełego czoła, przychyłać napój słodki ku spalonym goryczą wargom, będzie słowami, cicho i słodko ciekącymi z jej serca, krzepić i wzbijać ku górze osłabłe, złąknione serce.

Tymczasem usiadła na chwilę, aby spocząć. Oddycha spokojniej, wzniesione oczy jej tkwią w srebrnym obłoku, który nieruchomo zawisł pomiędzy szczytami drzew a błękitem nieba. Widać wyraźnie, jak w białej głębi kornetu oczy te, ku srebrnemu obłokowi podniesione, zaczynają jaśnieć i stawać się coraz podobniejszymi do gwiazd. Jednocześnie, usta bladoróżowe i porysowane takimi pręgami, jakie dzień upalny rysuje na płatkach róż, rozwierają się błogim uśmiechem.

Siedzi nieruchomo, z coraz więcej jaśniejącymi gwiazdami oczu, z błogością uśmiechu cichą, coraz głębszą i modli się, czy myśli. Najpewniej, modli się myślą, myślą wzlotną, która przebija obłok srebrny, niebo błękitne, etery nadniebieskie i rozmiłowana ściele się u stóp Miłości najwyższej. Coraz cichszą zdaje się stawać i coraz promienistszą. Coraz promienistszą, bo jak przedtem z rąk, tak teraz z opłatków twarzy świeci mistyczna pozłota, a gwiazdy oczu napełniają się jaśnieniem przezyciem i promieniem. To szczęście ekstazy. To rodzaj szczęścia, niepodobny do innych jego rodzajów, rzadki jak perła i, jak ona, rodzący się w wielkich głębiach. Blask jego, bijący ze zwątlonego, cierpiącego ciała, porównać można do dymu wznoszącego się z kadzielnicy, rozkołysanej u stóp ołtarza. Dym lotny, wonny, ozłocony światłem poświęconych gromnic, wzbijający się wysoko w mroki, pod stropy świątyni, usłany w mrokach tajemnicami nieśmiertelnego Światła...

Wstała niebawem i, tak samo śpiesznie, jak była przyszła — odeszła.

Więc jest tam coś nad srebrnymi obłokami, nad błękitami, nad eterami zaziemskich przestworzy, co w chore piersi leje zapomnienie bólu i z ciał strudzonych, zwątlonych, w surowe suknie czarne obleczonych, wypromieniowuje szczęście?

Co tam jest w sercu tej kobiety, co jej samotność napaja ekstazą uczuwania wiecznej czyjejś Obecności? Czyja to Obecność? Kto z nią jest w głuche noce i w znojne dnie? Jaka muzyka siłom jej gasnącym gra niemilknącą nigdy pobudkę hasła do czynu, pieśni do radości?

Co tam jest, pod zasłanym tajemnicami stropem świata. Co jest na zaslanem mękami ludzkimi dnie otchłani?

Ta kobieta, czy ta lilja ku temu stropowi wlatywała i na dno tej otchłani spuszcza się — z ekstazą szczęścia.

Tymczasem srebrny obłok nad drzewami zgasł i przepłynął. W powietrzu zaczęło stawać się szaro, a w ogrodzie pusto. Za rzędem zrzadka rozsadzonych drzew gorzał płomienny pas wieczornej zorzy.

Może przed jaskrawym blaskiem zorzy, może przed łagodnym jaśnieniem, które oblewało czarną postać zakonnicy, przysłoniła oczy dłonią i z umysłem chwiejącym się nad przepaścią zapytań, zagadnień, zadziwień, dla świata zewnętrznego pozostała przez czas jakiś obcą i niewidomą.

Jednak, niebawem, świat zewnętrzny przedzierać się począł do jej słuchu. Dwa głosy, kędyś blisko, rozmawiały. Rozmowa była szybka, przyciszona, lecz wyraźna. Dwoje ludzi skądś i dokądś szło, słyhać było przed chwilą stąpania ich po piasku alei. Lecz zamieniali słowa tak śpiesznie i z takim wzruszeniem, że oddechu im zabrakło i musieli stanąć. Stanęli kędyś blisko, za ażurową zasloną gałęzi, których liście zlekka szemrały. W szmer liści wmieszał się szept kobiecy zadziwiony i radosny.

— Czy podobna? Dziś jeszcze...

— Każdego dziś, więcej niż każdego wczoraj — śpiesznie na ostatni wyraz kobiecego szeptu wpadł gorący szept męski.

— Po piętnastu latach...

— Tak samo jak w piętnaście godzin...

— Po ślubie?

— Tak; po godzinie błogosławionej, która nas połączyła na zawsze!

— I tyle pracy, tyle trosk, tyle bied...

— One łączące nas ogniwo wysadzały rubinami wspólnych...

— Bólów?

— Tak; dobry wspólnik bólu droższy stokroć nad miłego wspólnika wesołości...

— Bo rzadszy...

— Tak; Byłaś mi dobrą współniczką bólów i tragedję życia zaprawiałaś harmonją poematu...

— Gorycz życia tobie ujmować było dla mnie taką słodyczą. Lecz dziś...

— Tak samo jak przed piętnastu laty...

— Ja również...

— Więcej! Bo do miłości przybyła cześć...

— I wdzięczność...

— Tak. Skądże więc twe zdziwienie?

— Że dziś jeszcze, po piętnastu latach, w sercu twojem takie kochanie, a w mojej ręce, która wspiera się na twem ramieniu — taka ufność!

— I takie źródło siły mojej w szczęściu, którego ty jesteś źródłem...

— Tak. Szczęście jest źródłem siły...

— Jak słońce światła...

Zaszemrały na drzewach liście, zaszeleściły na piasku alei lekkie stąpania. Ludzie szczęśliwi mają stopy lekkie. Odeszli.

Nie byli, tak jak zakonnica miłosierdzia, echem spłynionem z pod zaziemskich stropów. Przez usta ich przemówiła ziemia, ale głosem najśłodszy ze wszystkich, jakie posiada. Bo gdyby pozbierać wszystkie miody ze wszystkich krzewów winnych, wieńców laurowych, sal balowych, kobierców aksamitnych, uśmiechów zalotnych, triumfujących, dumnych, nie dorównałyby one słodyczą swą tej, którą dwa serca ludzkie piją z wzajemnego, wiernego kochania. Wiernego przez trud i ból, zaprawiającego tragedję życia harmonją poematu... Głos to był ziemski, ale którego niebo chętnie słucha, bo przez trud i ból, przez czułość, ufność, wierność wypracowuje na ziemi rzecz niebieską, którą jest — harmonja.

Odjęła dłoń od oczu i zaczęła patrzeć w zorzę, która zwęziła się, przygasła, lecz odrzynała jeszcze ziemię od nieba strugą bladego złota.

Oczy jej, które oddawna nie płaczą nigdy i dlatego są oczyma kobiety dwudziestoletniej, choć dwakroć tyle już lat na świat spoglądają, zapalają się teraz gniewem. Uczuwa się przeciw samej sobie rozgniewaną. Nie miała dość silnej woli, aby w czas odejść z tego miejsca, na którym sypią się jej w oczy i serce niespodziewane prochy. Piekące prochy! Echa, pyłki, okruchy, źdźbła, jedno nic, zupełnie nic namacalnego, ani widzialnego, ani rzeczywistego i rozsądnego... a jednak pali to i budzi...

Budzą się struny śpiące i występują z nich sny zapomniane, wzgardzone, ukamienowane śmiechem ironicznym. Nuty ironicznego śmiechu, to kamienie, pod których uderzeniami sny serca umierają. Gdybyż umierały! Ale usypiają tylko i czasem, głosami

nieba czy ziemi, lub i nieba i ziemi obudzone, z powrotem wstępują do serca, które nawał ich fali okrywa rysami pęknięć...

Trzeba stąd iść. Trzeba z tego zamraczającego się ogrodu wyjść na przestrzeń widną, ludną, pełną światła i ruchu. Na ulicach miasta zapłonie wnet światło gazowe i elektryczne. Magazyny, powozy, turkot, gwar. W świetle gazowym i elektrycznym, wśród turkotu i gwaru pójdzie, albo pojedzie do domu...

Do domu? Już uczyniwszy ruch do wstania, znieruchomiła znowu. Przy wspomnieniu o domu, uczuła ckliwość nudną, ze źródłem niezrozumiałem. Było to tak, jakby odechnęła stęchlizną i chłodem mieszkań pustych i nieopalanych. Dlaczego ze wspomnienia o mieszkaniu ślicznym, pełnym rzeczy kosztownych i rzadkich, w gardło jej przecieka nudna ckliwość, a na twarz wionęło chłodem? Nie odpowiedziała sobie na to pytanie, bo zobaczyła coś, co kibić jej wyprężyło zdziwieniem osłupiałem.

Za rzadko rosnącymi drzewami, na dogorywającym złocie zorzy zarysowała się postać męska wysmukła, zgrabna, z ruchami, które przypomniały jej dawny sen... zabity sen. Pochylona naprzód — patrzała.

Czyżby... Ale jego w tym mieście niema oddawna! Może ktoś podobny? Wprawdzie... jeżdżą ludzie po świecie i odwiedzają miejsca dawno opuszczone... Możeż to być, aby to był... Cóż w tem zresztą bardzo dziwnego? Ale gdyby... Rysów człowieka, przechodzącego za rzadkimi drzewami, dostrzedz nie może, tylko ten chłód, te ruchy, to pochylenie głowy...

Wtem... tak! to on! Na tle blade złotem, wypukłą rzeźbą powstał profil twarzy myślącej, schylonej w zadumie i — wyraźnie to spostrzega — znużonej, cierpiącej...

To on, to ten, o którym niegdyś przez długi szereg przewalczonych dni i nocy myślała, którego w myślach i walkach po tysiąc razy od siebie odpychała i ku sobie przyciągała, którego czoło przykuwało do siebie jej oczy, jak karta książki przeciekawej, który miał dla niej takie miękkie, dobre, ach, dobre słowa, którego włosy miały takie ciemne połyski, a oczy takie spojżenia przejaskne... To on! Widzi wyraźnie profil jego znużony i cierpiący. Nie miał snuć swojego źródła siły. Nie ciekło na niego zdrowie ze szczęścia, tak jak światło ciecze na kwiaty ze słońca. Zwiądnął. O sen jej! Zabity sen! Drogi!

Przechodzień zniknął w oddalonej gęstwinie — a ona z osłupieniem zapytała siebie: czy podobna? Czy podobna, aby siedł tak blisko niej, przeszedł — i zniknął. Czy podobna, aby dwoje ludzi, których tak mocno związały niegdyś promienie oczu, uśmiechy ust, uderzenia serc, godziny rozmów, stało się dla siebie tak dobrze obcymi, że jedno przechodzi obok drugiego, nie wiedząc, nie myśląc, nie pragnąc... Przechodzi, mijają, znikają...

Przechodzień zniknął; natomiast, ze złotej zorzy wystąpił smutek, na skrzydłach z czarnej krepki przepłynąwszy ogrodowe zmroki, obok niej stanął. Na głowie swej uczuła oddech bladego demona. Oddychał on zmiennością i przemijalnością rzeczy wszelkich, a kto wie, czy to właśnie tchnienie nie jest najwięcej ciężkiem ze wszystkich, które wzdymają bezdenne dno smutku? Pod ciężarem tego tchnienia nisko chyliła głowę, ustrojona we włosy tak trwale czarne i wbijała w ziemię wzrok tak śmiało zawsze patrzący w srogie oczy życia. Na chłodnej zawsze, a teraz płonącej dłoni wsparła czoło tak długo gładkie, a teraz zfałdowane przez te uczucia i myśli, które na czołach ryją zmarszczki. Błady demon stał wciąż przy niej i choć usiłowała go odpychać, ogarniał ją skrzydłami z czarnej krepki. Z oddechu jego sypały się piekące prochy rzeczy, które skruszyło srogie życie, lub które ona sama, z rozsądnym namysłem, skruszyła w silnej dłoni...

\*

Liście na drzewie szemrzą coraz głębiej, zmrok coraz gęstszy wieje chłodem. Trzeba iść. Myśląc, że trzeba iść, nie wstaje przecież i nie odchodzi.

Gdy powstanie i odejdzie, aleją tą naprzód, zmierzchu pełną, a potem ulicami pełnemi światła i gwaru, iść będzie zupełnie tak samo, jak owa kobieta w czarnej sukni, na którą dziś patrzała długo. Iść będzie powoli, bardzo powoli, tak jak zazwyczaj chodzą ci, którzy do niczego i do nikogo się nie śpieszą, usta jej zakreślą linię wąską, szyja wyciągnie się naprzód i przez ruch ten lekkim zgarbieniem zepsuje kształtną kibić, — oczy, te piękne oczy, patrzeć będą przed siebie sztywnie, błędnie, wiedząc, że ani tu, ani tam, ani daleko,

ani blisko nie ujrzą nic miłego, nic kochanego, nic — swego. Tak iść będzie, gdy, z tej ogrodowej ławki powstawszy, odejdzie.

Ale teraz nie odchodzi jeszcze i smutek wciąż przy niej stoi. Plecy jej przygarbiają się w objęciu skrzydeł jego z czarnej krepy, głowa chyli się coraz niżej pod ciężarem jego oddechu, w piersi jej czerwona kropla wzdyma się, drży, a po twarzy, na policzkach spływają sznury gorących perł. Płacze.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/szczesliwa/>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Ostatnie nowele, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0655-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).